

stya finansowa. Do dezorganizacji personalu przyczyniało się bowiem niewątpliwie i to, iż dyrekcje zalegały stale z gażami.

Nowego tedy kierownika dramatu czeka praca ciężka, olbrzymia ale też i wdzięczna. Ciężka, bo musi dokonać gruntownej reformy repertuaru, musi zorganizować personal i zaprowadzić wśród niego karność, musi uregulować zaszargane finanse teatrów warszawskich. Ale i wdzięczna, bo jako pierwszy artystyczny kierownik dramatu i jako pierwszy na tem stanowisku Polak, ma możliwość położyć niespożyte zasługi około rozwoju tej pierwszej sceny polskiej, może ułatwić rozwój młodemu talentom literackim.

Osoba nowego kierownika daje rękojme, że nadzieje, jakie doń społeczeństwo przywiązuje, nie będą płonne. Kazimierz Zalewski, człowiek w sile wieku, od szeregu lat pracuje w zakresie dramatu, jako autor wielu wybornych sztuk i komedii, oraz jako doskonały znawca tego działu literatury i jego krytyk. Podejmując się ciężkiego zadania reformy scen warszawskich obliczył z pewnością dobrze i skrupulatnie swe siły. Jako kierownik dramatu będzie miał na mocy kontraktu zupełną swobodę w kierowaniu artystycznym teatru. I tego punktu powinien Zalewski stanowczo przestrzegać i nie dopuszczać, by dyrekcja w jakikolwiek sposób mu bruździła. Musi też nowy kierownik swemi zaletami moralnymi, energią i artyzmem zaimponować artystom, którzy wówczas pójdą za nim jako karna drużyna.

Życzymy mu z całego serca, aby stał się istotnie odnowicielem sceny warszawskiej i zwycięską w walce o sztukę. Zwycięstwo to przyjdzie, gdy wielką znajomość teatru i zdolność rozwojowego pojmowania piękna, zwiąże z prawdziwą miłością sztuki i wielkim hartem moralnym.



A jednak nie całkiem los się od nas odwrócił. Lubo Warszawa doznała zawodu, nie mogąc ujrzeć na własne oczy ks. Borghese, to przecież dwu Warszawianom danem było nie tylko go widzieć, ale z nim rozmawiać, jeść z nim kolację i odprowadzić go z Kowna do Maryampola. Nie potrzeba dowodzić, że to zetknięcie się warszawskich automobilistów ze zwycięską Pekinu-Paryża jest ze wszech miar dla nas zaszczytnem i że najdrobniejszy szczegół tego zetknięcia się, powinien być znany naszemu społeczeństwu. Dzięki „Kuryerowi Warszawskiemu“ nie brak nam dokładnych relacji, posłuchajcie więc, co opowiada sprawozdawca „Kuryera“, p. Z. Bartkiewicz. Opuszczam wstęp, bo idzie mi tylko o chwilę historyczną.

„Ks. Borghese — pisze sprawozdawca w obszernej fejtynie — spostrzega nas opodal i z uśmiechem wysiada i wita się z nami. Twarz wyniosła, surowa, ani śladu zarostu, coś z Indyana, coś z księdza proboszcza (zapewne i z aktora, przyp. kronikarza)“. Następnie korespondent wspomina o urzędowym powitaniu księcia przez gubernatora kowieńskiego, o tem, że tłum „z tego powodu zamarł w podziwie“, że ks. Borghese miał słodkie słówka dla dam „szczerzących porcelanowe zęby“, że wreszcie zaproszony przez gubernatora na kolację, udał się do hotelu przebrać i umyć, przy których to czynnościach obaj Warszawiaczy mu towarzyszyli. Tu następuje główny, historyczny ustęp.

— To panowie 400 wiorst przejechali z Warszawy? — zapytał książę.

— Tak... około 400-stu.

— Ależ to ja z wami zostanę, bardzo będzie to miłe — i bilet wysłał do gubernatora z ekskuzą, że bardzo zmęczony.

„Do 11-tej kolacja. Ożywiona, barwna rozmowa: automobile, lasy syberyjskie, marki fabryczne, tajga, skaliste pustynie, w końcu kobiety.

— Bardzo radbym — rzekł książę — zobaczyć Polki; słyszałem, że piękne...

— Bywają — ze szczerem przekonaniem odpowiada p. Trylski i na tem tle wdzięcznym snuje się dalej rozmowa.

— Miałem sposobność — zwierza się książę — zgrzeszyć raz w drodze, ale obawiałem się, że spóźnię się w naszym wyścigu o miasteczko.

— Czy taka piękna była... sposobność?

Westchnął Borghese:

— *Zu!... Delicieuse!...*

Na tem koniec historycznej rozmowy. O „zmroku świtania“ odprowadzili obaj Warszawiaczy księcia do Maryampola. Oni jechali osobno, on osobno. W Maryampolu książę wyrzekł „życzeń“: *Adieu! Au revoir!*

Nie pominąłem żadnego szczegółu i sądzę, że Czytelnicy będą mi wdzięczni. Bo inaczej możeby nie wiedzieli, że reprezentanci Warszawy prowadzili z księciem „kawalerską“ rozmowę, że ten bohater omal raz w podróży nie uległ... popędowi serca; nie wiedzieliby, że dla reprezentantów naszego narodu porzucił książę kolację u gubernatora (szlachetny!), że się przy nich mył i przebrał (serdeczny!), że słyszał coś o piękności Polek (uczony!).

Jeżeli Warszawa szczęśliwa, że dla niej Borghese całkiem nie przepadł, to Lwów miał niemiłą pigułkę do przełknięcia. Przyszło komuś na myśl, aby zbiory rapperswylskie przenieść do Lwowa. Sprawa ta była przedmiotem obrad Rady miejskiej, która wyraziła wielką ochotę posiadania tych zbiorów i upoważniła pp. Bojkę i Lewakowskiego, członków Rady nadzorczej Muzeum Rapperswylskiego, aby rzecz tę na zjeździe dorocznym Rady nadzorczej przedstawili. Ale Rada nadzorcza pozostała głuchą na propozycję i odrzuciła ją wszystkimi głosami przeciw dwóm. Lubo nie ogłoszono dotychczas, jakimi motywami kierowali się urzędowi opiekunowie Rapperswylu, nie trudno jednak domyśleć się, o co im głównie chodziło.

Ze Lwów uszanowałby zbiory rapperswylskie, że stałyby się one dostępnejsze dla naszych badaczy, to nie ulega wątpliwości. Ale po pierwsze: nie źle jest, jeżeli poza granicami kraju posiadamy instytucję, która obcym przypomina nas i nasze ideały. Zwiedzają ją Francuzi, Niemcy, Anglicy — zawsze więc czegoś o nas się dowiedzą, zawsze (przypuszczać można) Muzeum budzi dla nas wśród obcych pewną sympatię. Ale choćbyśmy lekceważyli znaczenie Rapperswylu jako placówki narodowej i naukowej za granicą, choćbyśmy do minimum obniżyli jej charakter reprezentujący i, że tak powiem, idealno-agitacyjny, to jest jeszcze drugi, stokroć ważniejszy powód, aby zbiory rapperswylskie pozostawić na ziemi szwajcarskiej. Są one tam, mówiąc krótko, najbezpieczniejsze. Jeżeli magnaci całej prawie Europy (a między nimi i nasi) znaczną część swych majątków „na wszelki wypadek“ lokują w bankach angielskich, to dobrze jest, jeżeli i my część swych „skarbów“ umieścimy tam, gdzie im nic nie grozi. Przebyliśmy zbyt wiele ciężkich doświadczeń, abyśmy mogli z ręką na sercu twierdzić, że nasze zbiory krajowe, prywatne czy publiczne, są pewne, nienaruszalne. Ze skarbów, jakie nam zabrano, moglibyśmy utworzyć kilka wspaniałych muzeów i bibliotek. Zapewne, że w Galicji większa na razie jest pewność, niż w innych naszych prowincjach, ale polityka, to pani zdradliwa — niespodzianki więc nie są wykluczone. Nie mamy, niestety, ani kawałka takiej ziemi, na której bylibyśmy „panami u siebie“. Co więcej, ziemia nasza zawsze jest przypuszczalnym polem przyszłej walki obcych potęg. A Lwów w dodatku ma jeszcze swe specjalne niebezpieczeństwo. Czy to tak dawno hajdamaczyzna poniszczyła portrety rektorów?

Podobno Kraków miał, czy ma zamiar stanąć do „szlachetnego współzawodnictwa“ ze Lwowem — sądzę jednak, że Rada nadzorcza w Rapperswylu nie zmieni dla Krakowa tak łatwo swoich zapatrywań. Co się zaś tyczy mniemanego współzawodnictwa, to ze strony Krakowa byłoby ono dziwnem. Kraków ma tyle wspaniałych zbiorów, że może już nie wyciągać rąk po nowe. Dosyć będzie z niego, jeżeli podola już tym ciężarom, które włożył na siebie. Niech się z tego zadania dobrze wywiąże, a i to już będzie niemała sztuka. Bo nie zapominajmy, że wszelkie zbiory potrzebują kosztownego utrzymania. Coby zrobił chudopacholek, gdyby mu ofiarowano na przykład na własność muzeum Czartoryskich z obowiązkiem utrzymania go i powiększania, bez prawa pozbycia się z nich czegokolwiek? Są podarunki kosztowne dla obdarowanego. Nie zapisała Augustowa Potocka Wilanowa swym najbliższemu, ale Branickim, bo ci byli w stanie przyjąć ten podarunek. A Kraków nie magnat, nie ma nawet jednej wioszcyny... Tylko podatkami ratuje swą sytuację, a podatki to rzecz obosieczna.

Ba! gdyby to Kraków był na przykład Ameryką Północną! W Stanach Zjednoczonych rok „rządowy“ zaczyna się nie 1 stycznia, jak w Europie, lecz 1 lipca — stąd też na 1 lipca są gotowe wszelkie rządowe sprawozdania, które każdy może pocztą otrzymać, jeżeli ich tylko zażąda. Oto leży przedemną streszczenie sprawozdania finansowego Stanów za czas od 1 lipca 1906 do 1 lipca 1907. Rzuciwszy na nie okiem, powziąłem szczerze współczucie dla nieszczęśliwych Amerykan Północy. Biedny rząd waszyngtoński znajduje się w położeniu bardzo trudnem, bardzo przykrem: oto nie wie, co zrobić z pieniędzmi. W roku ubiegłym nadwyżka jego dochodów wynosiła 87,000.000 dolarów, a w roku bieżącym przeniesie prawdopodobnie 100,000.000 dol. Leży więc przed nimi niebezpieczeństwo nagromadzenia kapitału w kasach republiki, kapitałów leżących bez procentu i bez pożytku. Wobec tego naturalnie należałoby przede wszystkim pomyśleć o zmniejszeniu dochodów. Ale to nie tak łatwo, jak się zdaje. Rzecz w tem, że Północna Ameryka ma dwa główne źródła dochodów, które się obciąża nie dają. Pierwsze, to cła na towary zagraniczne — przeciw ich zmniejszeniu powstałyby cały przemysł, powstałoby wszyscy robotnicy. Drugiem najważniejszem źródłem dochodów jest akcyza od gorących napojów, cygar i tytoniu. Obniżyć jej opłatę, to znaczy zwiększyć pijaństwo i namietność palaczy — ba: to znaczy... powiększyć dochody.

Przychodzi mi na myśl drugi sposób: nie można zmniejszyć dochodów, to należy zwiększyć wydatki. Ale i tu kłopot, co uczynić? Myślano o zwiększeniu pensji urzędnikom, ale przeciw temu powstała silna opozycja, gdyż pensye te są już i tak nieco wygórowane. Jednem słowem: i tak źle i tak nie dobrze. Nie udała się nawet wojna z Japonią, która by trochę kasy Stanów oczyściła.

Gdyby amerykańscy kierownicy finansów uczyli się w Austrii, z pewnością nie potrzebowaliby łamać sobie głowy takimi pytaniami i byłoby im bardzo łatwo pozbyć się tych przeklętych nadwyżek. Ale yankesi to naród zarozumiały — uważający się za więcej inteligentnych i rozumnych, niż inne narody. I dlatego Pan Bóg ukarał ich za zarozumiałość!

O nowym rodzaju kary dowiedzieliśmy się wskutek zaburzeń w Marokku. Oto agitatorom, którzy namawiają lud do buntu przeciw sułtanowi, nacierają wargi ostrym pieprzem. Czyby tego środka (jeżeli jest skuteczny) nie było warto użyć względem naszych politycznych agitatorów? Niechby i oni mieli raz tak gorzko, jak gorzkim jest przez nich nasze życie publiczne.



Kącik humorystyczny.

Tajemnica.

Pani A. spotyka swą przyjaciółkę, panią B., znaną plotkarkę, i w wielkiej tajemnicy opowiada jej arcyzajmującą historię o córce sąsiadki, zaklinając równocześnie, by tego nikomu nie powtórzyła.

Na drugi dzień spotykają się obie przyjaciółki znowu i pani A. rozpoczyna rozmowę pytaniem:

— No i co ludzie mówią „do tego“?

Różnica.

Józio: Mamo, prawda, że defraudant to jest to samo co złodziej?

Mama: Ej nie! Defraudant — widzisz — to coś lepszego.

